PROMYKI

Nowe Poezye Liryczne

WŁODZIMIERZA WOLSKIEGO.

BRUXELLA,

DRUKARNIA J.-H. DEHOU, RUE GRANDE ÎLE, 6.

1869

PROMYKI.

PROMYKI.

Nowe Poezye Liryczne

WŁODZIMIERZA WOLSKIEGO.

BRUXELLA,
DRUKARNIA J.-H. DEHOU, RUE GRANDE ÎLE, 6.

1869

MROK I NOC.

I.

Kiedy w tęsknocie zadumany roję,
Że po nad Wisłą słucham szumów boru,
Do samotnego, zmarłe siostry moje,
Cicho spływacie z mrokami wieczoru!

Uśmiech dziecięcia nie ma tej słodyczy,
Kwiat z mogił pięknym smutkiem tak nie pała
Jak wasze rzewne lica... Ręka dziczy
Życie wam wzięła, wdzięku nie zdołała.

Choć wy, ubite koło niemowlątek
Matki z rozdartą piersią i obliczem —
Chociaż wy blady, męczenniczy szczątek
Lilij zdeptanych w objęciu zbrodniczem.

Choć wy ofiary — od zbójców nikczemnych
Ległe na bruku z modlitwy dźwiękami;
Choć wy anioły, wśród więzień podziemnych
Dobite głodem, zgasłe pod knutami.

Cicho spływacie wstęgami krwawemi,
Wy, męzkie duchy z postacią niewieścią —
I głos wasz szepcąc łzami gorącemi,
W serce się wpija ogniem i boleścią:

— Niedość — nad grobem płakać w tej chwili,
Wstyd — zrzucać klęski na smutne waśnie,
Gdy znicza, coście sami wzniecili,
Jeszcze zarzewie tli i niegaśnie.

Wszak było u nas trzech braci w sporze:
Jeden się chlubił z rycerzów rodu,
Drugi przy pługu giął się w pokorze,
Trzeci był dawny tułacz ze wschodu.

Wszakto przy znicza waszego blaskach
Zgoda trzech braci była poczęta.
W żałobnych szatach, w bialych przepaskach,
Biegłyśmy uczcić pierwszy dzień święta.

Choć wrogi — jako wilcy zgłodniali —
Ciało wam gryzą, krwi piją strugi,
Jeśli znicz u was jeszcze się pali,
Przyjdzie wielkiego święta dzień drugi! —

II.

Kiedy bezsenność goryczy nie koi,
A myśli przejmą samych zwątpień dreszcze,
Wsród cieniów nocy, zmarli bracia moi,
Schodzicie do mnie, który śmiem żyć jeszcze.

Z kulami w piersiach, żywcem pogrzebieni,
Na szyi z burym stryczkiem szubienicy,
W szatach z płomieni, w koronach z płomieni,
Schodzicie do mnie — nasi męczennicy!

Walecznym hufcem dzierżąc się za ręce,
Stoicie jaśni — i dźwięczą mi głosy,
Smutne lecz mocne — jak wytrwałość w męce;
Ostre i dziarskie — jak powstańcze kosy.

— Nie łamcie dłoni — choć ponura gwiazda
Oświeca pustki, zwaliska, pożogi —
Bo choć krwią orląt pobroczone gniazda,
Lecz rodu orłów niewytępią wrogi.

Z krwi naszej, co ta ziemia wsiąkła w siebie,
Plon nie urośnie nigdy dla siepaczy...
Kto umie patrzyć po ojzzystej glebie,
Ten po zagonach ruń dla nas obaczy.

Z siermiężną bracią, w potrójnej niewoli,
Zleje się jeszcze świętszym tchem miłości...
I z wiarą w siebie zaorze w swej roli —
I ze krwi naszej zbierze plon wolności.

NA MORZU.

I.

Słyszałem wielki głos straszliwej harfy,
Na której strunach fosforyczne drgania,
Gniewna melodja spienionemi szarfy
Pędzi na skały i piaski pochłania.
Wtórzy jej wicher przeciągły i zimny,
Węże piorunu biją w morskie fale...
Słyszałem, Panie, groźne burzy hymny —
Ku Twojej chwale.

Drżą, trzeszczą ściany wątłego okrętu,
Jak pierzem ciska nim potwór szalony,
Z szyderczym hukiem wyciąga z odmętu
Wciąż po nas brudne, zielonawe szpony.

Widziałem niemą rozpacz młodej matki,
Z omdlałą piersią na dziecięcia łkanie,
Jęki i modły strwożonej gromadki
Słyszałem — Panie!

Tam — Skandynawskie skały już szarzeją,
Zadrgały serca, wszystkim w oku żarzy
Nadzieja... żegnać się z taką nadzieją,
Co zdradną rafą czycha na żeglarzy!
Więc znowu w taniec piekielny po wirze,
W ryczącą ciemność, we zgrozę bez konca.
Gnamy, konamy... aż padł po chmur kirze
Blask Twego słońca.

I wnet weselej kraczą smutne mewy,
Mile nas buja groźna jeszcze fala,
Wybrzeża Skanji schylonemi drzewy,
Domy i ludzie witają nas zdala.
I radość naszą ujrzałem znów przecie,
I radośniejsze na brzegu witanie,
Ciche łzy matki, znów karmiącej dziecie,
Widziałem — Panie!

II.

Alem ja przedtem widział w mojej ziemi,
Jak lud bezbronny kląkł na kule wroga,
Z serca Cię wzywał spiewy nabożnemi,
Konal z ufnością w zmiłowanie Boga.

I konwulsyjne pastwienia wybryki,
Na bruku ze krwi, z mózgów sliskie łoże,
Uśmiech oprawców zwierzęcy i dziki,
Widziałem — Boże!

Widziałem katów, morderstwem dyszących,
Jak tłukli kolbą czaszki niemowlęce,
Potem do matek, z bólu konających,
Sprośne, lubieżne wyciągali ręce.
Lud mój żałobny w jednę męczennicę
Zamienion — z krwawo osmaganem ciałem,
Skazany wszystek na gwałt, szubienicę,
Na rzeź — widziałem.

Czułem, jak kłuto ludu tego serce,
I na świętości bluzgano mu kały,
Że musiał z gołą dłonią na morderce
Pobiedz—jak rozpacz wściekły lecz wspaniały.
Widziałem — fale ze krwi gdy się toczą,
A wicher huźda miast i wsi pożarem,
Hufce, idące na walkę ochoczo,
Pod Twym sztandarem.

Słyszałem także ów pokłask braterski,
Co go szermierzom dały obce ludy,
Z jawnem wielbieniem męki bohaterskiej,
Z tajnem ziewaniem nudy lub obłudy.

Słyszałem ludzkiej burzy pieśń ponurą,
W zgrozie jej bólów i w piekieł jej blasku,
Alem nie widział nad krwawą purpurą
Tęczy Twej blasku.

I ani razu wolność : ta omdlała
Matka, co lud ją wsród katów i psoty
Obudził z trumny, piersi mu nie dała,
Nie nakarmiła zgłodniałej sieroty.
I ciągle pędzim przez wrące otchłanie
Lez, krwi i męczarń — bez dnia i noclegu —
I z tego morza dotychczas, o Panie,
Niewidzim brzegu !

I wiem, że głos mój niegodny odleci
Od Twojej sfery — jak z drzewa liść suchy—
Lecz Ty na jęki wszystkich swoich dzieci
Jak martwe pogan bostwo jesteś głuchy,
Nie chcesz nas słyszyć...
Nagle się poruszy,
Jakby tajemny dźwięk przez morską ciszę,
I niknąc, jakby poszepnął do duszy :
Słyszę was, słyszę !

POWRÓT.

Z krwawych umiesień, z dalekiej podróży
Po górach, morzach — i po ludzkiej fali —
Kiedy ból jątrzy, kiedy rozczar nuży,
Powracam do Tych, co w domu zostali.

Ale mnie witać nie wychodzą moi
Z dworku, co nęcił wśród topól tak biało,
W złamanych wrotach tylko Ona stoi,
Wita i mówi : — patrz! co pozostało. —

Patrzę... Wokoło czarne zgorzeliska
Chwastem i zielskiem bujnie się okryły,
Niżej chat kilka okienkami błyska,
Po nad gościńcem sterczy krzyż pochyły.

Drogą od karczmy idąc na robotę,
Gadają ludzie o powszednim chlebie,
Ranek... i słońce wszystkie blaski złote
Rozrzuca hojnie po wiosennem niebie.

W boru jak dawniej szumią smukłe sosny,
Łany falują srebrnemi kłosami,
Skowronki nucą wciąż pacierz radosny
Jak go nuciły przed lat tysiącami.

Więc zwracam na Nią oczy pełne płaczu,
Co dotąd sucho patrzały w męczarni,
A Ona : — Chodźmy na smętarz, tulaczu,
Odpoczniesz z drogi na grobowej darni.

Powitasz swoich, których grób przy grobie,
I tyłe ujrzysz kości bez pogrzebu
Co krzywd bez pomsty —tam odpoczniesz sobie
I spojrzysz z za łez ku jasnemu niebu.

Ja cię do marzeń ukołyszę znowu,
Krwawy pot z czoła obetrę żałobą —
I znów uwierzysz tajemnemu słowu,
Co niem natchnienia anioł mowił z tobą. —

Nagle serdecznie za rękę mnie chwyta,
Piaszczystą ścieżką razem ze mną kroczy,
Wysmukła, grubą żałobą okryta,
Po której spływa zdrój ciemnych warkoczy.

ONA.

I.

— Pomnisz czarowną z dźwięcznego drewna,
Zwieszoną z wierzby, wśród szarych skał,
Jaz brzmiała z wichrem silna lecz rzewna,
Choćiaż jej ciskał sam gniew i szał?

Patrz! od zielonej stawu krawędzi,
Wytryska szyja jak mleczny krzew —
I z niej ku niebu dźwięczy łabędzi,
Pierwszy — ostatni łabędzia śpiew.

I chociaż śpiewu tęsknego żale
Ku dalszym brzegom zanosi staw,
Już trup śpiewaka zsunał się w fale,
Po marach z wodnych kwiatów i traw.

Czułeś tę dźwięczność w poranku głosie,
Gdy świeżem tchmieniem zapachniał z gór,
A śpiew dziewczęcia we mgle, po rosie,
Tysiącznem echem płynął przez bór?

Słyszysz? ptaszyna w klatce się czuli
Tęskniej niż pośród gajów i pól,
Ludzie ptaszynie oczy wykłuli,
By im nuciła kalecy ból.

I ty, tułaczu, nie żałuj dźwięków
Żalu czy gniewu z zbolałych warg.
Wszak pomnisz, pomnisz—wśród krwi i jęków
Jak brzmiał ku niebu głos waszych skarg?

Choć teraz w duszy wilgoć ciemnicy,
Skrzyp zawias, kajdan dzwonienie masz—
Wszakże i bladzi styp biesiadnicy
Marzą i gwarzą z pobrzękiem czasz.

Bo kto zamilczy, choć go okola
Czerwoną rzeką męczeńska krew,
W tym już przebrzmiala arfa Eola,
W tym już zamilknął poranku śpiew.

W tym już wymarły żale łabędzie,
Co tylko z serca raz w życiu brzmią,
Ten swego bólu nucić nie będzie,
Chociaż miljonów bole w nim wrą.

Słyszysz? zahuczyć chce naszą mowę
Jak zaspą śniegu ciemięzcy wrzask,
Trzeba słowami bić ścieżki nowe,
Nim śnieg stopnieje na prawdy blask.

A więc, tułaczu, nie żałuj dźwięków
Żalu czy gniewu z zbolałych warg,
Wszak pomnisz, pomnisz, wśród krwi i jęków,
Jak brzmiał ku niebu głos waszych skarg?

Niechaj niepieszczą pieniem słowiczém,
Nie orlim lotem pieśni twe mkną,
W jedném młodzieńczém, w jedném dziewiczém
Oku, niech szczerą oddźwiękną łzą,

Choćby do jednéj rodzinnéj strzechy,
Niech trafią jako spragniony gość;
To już dla Ciebie dosyć pociechy,
To już nagrody dla Ciebie dość.

II.

Splotem warkoczy ściera łzy, co padły
Na wrące czoło, ochłodziły żar...
Wtem się ocucam... dzień chmurny, wybladły,
Wokoło słychać obcéj mowy gwar.

Krąży w ulicach z murami kształtnemi
Lud czynny, szczęsny ze swobody swej,
Lecz ja już duszą niewyjdę z méj ziemi,
Z jéj łanów, grobów i zgorzelisk jej.

MLECZNA SIOSTRA.

I.

Świeci słonko nad krzyżami
Na mogiłach u pagórka,
Niechaj Moskal inne mami!
Ja — nie gadam z Moskalami —
Gospodarska córka.

W karczmie dźwiękły skrzypki, basy,
Wiejskie dziewki aż drżą za tem...
Wołałabym w wieczne czasy,
Uciec po za góry, lasy
Niż pląsać z sołdatem.

Siostry, bracia — wszystko sobie
Na ochotę z chaty bieży...
Ja na łące wianek zrobię,
Na panicza mego grobie
Znów położę świeży.

To-ć go matka ma karmiła,
Daj jej Boże spokój wieczny!
Gdym się dzieckiem z nim bawiła,
To-ć mi dawał cacek siła
Mój braciszek mleczny.

Raz mi w lato, gdy do wioski
Wracał z nauk niebożątko,
Przywiózł obraz Matki Boskiej,
Gdzie z promyków złotych włoski
Ma święte dzieciątko.

Codzień myję, stroję w kwiaty,
Niby szkiełko czysty wisi —
I wnet słyszę, jak przed laty,
Głos panicza koło chaty:
— Dzień dobry Marysi!

II.

Słonko gaśnie, chmury gonią,
Z kościołeczka po za strugą
Już na Anioł pański dzwonią,
Darmo tulę oczy dłonią,
Płaczę gorżko, długo.

Przyszła-ć straszna wojna taka,
Pani na Jezusa mękę
Zaklinała jedynaka...
Nie powstrzymasz w gnieździe ptaka,
Poszedł na wojenkę.

Na koniku, na bułanym,
Przy szabelce, z ostrogami,
Het ku brzegom, ku Wiślanym,
Z Jankiem, synem kowalczanym,
Pojechał borami.

Uklęknąłam-ci przy drodze,
Gdzie figura u kamienia —
Żegnam-ci go, płacząc srodze,
A on tylko rzekł niebodze:
— Maryś! Do widzenia!

III.

Bitwa blizko — w wiosce trwoga.
Ścichło... kiedy niespię w nocy,
Słyszę — ktoś u chaty proga
Jęczy: — Maryś! w imie Boga
Pomocy, pomocy!

Oj — co oczy me ujrzały,
Oj — niedolo-ż ma, niedolo!
Panicz we krwi zbroczon cały,
— Maryś, szepcze, mam dwa strzały
W piersi, strasznie bolą.

— Biedny Janek koło rżyska
Leży z potrzaskaną nogą.
Idźcie, nim go Moskaliska
Tam dobiją, bo to zblizka
Od krzyża za drogą.

— Szkoda, nie ma we wsi matki,
Niepożegna się już ze mną,
Ledwie-m zebrał sił ostatki,
Przywlec się da waszej chatki,
Wody! w oczach ciemno...

Z ojcem w izbę go dźwigamy,
A on główką smutno kiwa:
— Maryś! padnij do nóg mamy,
Przeproś... wnet się pożegnamy,
Siostrzyczko poczciwa!

Wtem-ci oparł się o łoże
I otworzył wszerz powieki,
Wołał: — Naprzód! w imie Boże!
Naprzód bracia! — Lecz nieboże
Upadł już na wieki.

IV.

Zrabowali dwór Moskale,
A jam po wsi szła z zarzewiem
I wołałam jakby w szale,
Że Moskali wszyskich spalę —
A co potem ? Niewiem.

Bo-ci niemoc mnie męcząca
Powaliła w onę chwilę —
W głowie żarzy się, zamąca...
I leżałam niewiedząca
Bóg wie — czasu ile !

Wtem raz czuję, że-m na jawie.
Patrzę : już-ci późny ranek,
Blady jakiś człek na ławie,
A na szczudle, jakby prawie
Nasz kowalczak-Janek.

Kiedym wstała, już bieliło
Zimą, już lód rzekę ścina,
Starszej pani też nie było...
Leży biedna pod mogiłą
Koło swego syna.

V.

Świeci księżyc, świeci zdala
Na mogiłach u pagórka,
To-ć drwił Janek, syn kowala,
Że ja pójdę za Moskala —
Gospodarska córka.

— Pierw mnie żywą w grób zabierą,
Nim swat wejdzie do zagrody,
Pierw Moskala za chęć szczerą,
Ucięłabym w łeb siekierą,
Wskoczyła do wody.

Mówię — a kowalczak dłonie
Ścisnął, wskoknął-ci na szczudle,
Spojrzał smutno — i przez błonie
Poszedł zwolna poić konie
Na łące, we źródle.

VI.

Już nie błyska księżyc w stoku,
Już mu chmury skryły liczko.
Czy kto za mną chodzi w mroku,
Czy kto przy mnie woła z boku:
Siostrzyczko, siostrzyczko!

Westchnę do stróża-anioła,
Zmówię odpoczynek wieczny...
Z szumem wierzbin do okoła,
Znów ktoś woła, pewnie woła
Z grobu brat mój mleczny.

NARZECZONA.

I.

— Przez Moskali szereg cały
Przedarł się orężem.
Mamo! taki wojak śmiały
Wart być moim mężem.

— Slub sproszony na Ostatki
Sama — odłożylam,
Sama — u konfederatki
Orzełka przyszyłam.

— Słubną suknię, ze łzą w oku,
Do szafy w schowanie
Dałam mamie, za pół-roku
Mama wydostanie...

— Bo Bóg z nami, proszę mamy,
Skruszym te poczwary—
I ślub zaraz odbywamy
W Warszawie, u fary.

— Tak on pragnie, a mnie miejski
Tłok męczy, odurza,
Wolę nasz drewniany, wiejski
Kościołek u wzgórza.

— Tak skromnintko wśród topoli
Stoi na murawie —
Zresztą ślub od mamy woli,
Na wsi czy w Warszawie.

— A ja ciągłe, ciągle pieszczę
Marzenie to samo,
Ze on może zostać jeszcze
Jenerałem — mamo!

— Męztwo jego w pismach wszędzie
Wspomniane z zapałem,
Głoszą, że dowodzić będzie
Liczniejszym oddziałem.

— Prawda? na tych zasług blaski
I mamy serduszko
Rośnie... nuż się jak Pułaski
Wsławi, jak Kościuszko.

— A czyli mu nie do twarzy
W szlifach u mundurka?
Kazda polka o nim marzy,
Dziw? że mamy córka

Kocha jak kochała zawsze,
Kona z niepokoju...
Boże! bitwy coraz krwawsze,
A on ciągle w boju.

— Boże! kiedy mu szkapłerze
Dałam drżącą dłonią,
Wezwałam cię, Panie, wierzę,
Od kuli go chronią!

— Lecz cóś milczy... trzy tygodnie
Miłczeniem za długiem.
Wiem, że zbiera niezawodnie
Oddział swój nad Bugiem.

— Za milczenie to szkaradne,
Za skąpienie słówka,
To go skarzę, bo odgadnę,
Gdzie jego kryjówka.

II.

Co za ranek smętny, mgławy,
Zeby słonko błysło!
Tylko milka od Warszawy,
Wnet będziem nad Wisłą.

Bo z Warszawy w téjże chwili
Nad Bug, proszę mamy-
O- głos serca mnie niemyli,
Dziś go, dziś spotkamy.

— Jak w tych murach duszno, parno
Pod schmurzoném niebem,
Krążą tłumy strojne czarno
Jakby za pogrzebem!

— Takie snują się gromady
Wojska po ulicy!
Jezus Marja! tam znów blady
Trup na szubienicy.

— Codzień, codzień- mocny Boże,
Męczennicy nowi!
Kiedyż dłoń Twa dopomoże
Biednemu krajowi?

— Mamo! czy mnie pcha w tę stronę
Piekielna moc jaka?
Patrz! szkaplerze me święcone
Na piersi biedaka.

— Patrz! te usta, co się ku mnie
Smiały tak wesoło,
Ciemny wąsik — i to dumnie
Rozjaśnione czoło.

— Bóg mych próśb wysłuchać raczył.
Nie od kuli wroga,
Smierc od stryczka mu przeznaczył...
Chyba niéma Boga.

— Bluźnię — jeszcze drga mu lice,
Biegnijmy, wołajmy,
Prędzéj tam pod szubienicę,
Na klęczkach błagajmy!

— Straszna moc mi wznosi serce
I dłonie wytęża...
Precz! puszczajcie mnie, morderce,
Do męża, do męża!

— Mamo! serce się rozrywa,
Wyskoczy mi z garła,
On mnie woła, na ślub wzywa
Do Fary...
Umarła.

MARSZ SYBIRSKI.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu,
Jako straż przednia męczarni i nędzy,
Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Niepłaczmy po nim, on odpocznie prędzej.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów,
Na długo, długo pojdziem w step daleki,
Zanim pod knutem dzikszych jeszcze katów
Nieodpoczniemy w kopalni na wieki.

Ten brat naczelny z pomiedzy nędzarzy,
Co strat i cierpień swoich niewymienia,
Co z niewieściemi łzami niepagwarzy
O żonie, dzieciach — no co te wspomnienia!
Ten najdzielniejszy, który wie, że zbrodnia
Wrogów się wzmoże jak z wichrem zawieja,
Że w sroższych mękach nadziei pochadnia
Wytli się, zgaśnie — po co ta nadzieja?

Ten nasz bohatér, co rzewność pokona,
Kiedy mu w myśli stanie ojców strzecha,
Płacząca matka i starzec... i ona
Łzami zalana — na co ta pociecha!
Ten najmężniejszy, który się niespodli
Jak bojaźliwy żołnierz podczas bitwy,
Co zdjęty strachem bezwiednie się modli
O marne życie — po co te modlitwy!

Ten nasz przewódzca, który się niełudzi —
Choć ludów Carskich niewola zmalała
Z naszych męczarni — aby okiem ludzi
Spojrzały na nas — po co nam ta chwała!
Ten najdzielniejszy, co pierwszy dostrzeże,
Iż Moskal, co ci kłał przyjaźń przed Bogiem,
Ukąsi milczkiem jak drapieżne zwierze
W przyjazne serce — na co przyjaźń z wrogiem!

Z ziemi, gdzie dymią zgorzeliska czarne,
Gdzie sterczą z gruzów szubieniczne słupy,
Idziemy śmiało — jak duchy smętarne,
Martwi na męki — jak chodzące trupy.
Kiedy nam w sercach nawet głos rozpaczy
Już brzmi za cicho przy brzęku kajdanów,
Jednak, nędzarze, patrzym na siepaczy
Okiem aniołów na hordę szatanów.

Przed nami snieżne bez granic przestrzenie
Lub bór dziewiczy ciemny pas rozrzuca,
Wkoło nas wichru stepowego tchnienie
Wysysa oddech, pożera nam płuca.
Nad nami błyska na wieczornem niebie
Północna, krwawo zrumieniona zorza...
I na całunach śniegów w koło siebie
Widzimy krwawe plamy, krwawe morza.

I kat téj jednéj niewydrze nam wiary,
I knut w nas głosu tego nieoniemi,
Że za męczarnie nasze i ofiary
Krwi morza muszą płynąć w Carskiéj ziemi.
Z tą wiarą będziem przykuci kopali,
Będziem kilofem rąbać skały ściany,
Jeśli załamie się i nas przywali,
To się zagrzebią pod nią — te szatany.

Bo choć zaleją brzeg rzeki powodzie,
Rzeka się musi zawrócić do łoża,
Choć dzicz się pastwi na wolnym narodzie,
Nieda go zalać dłoń dziejów, dłoń Boża ;
Choć ta dzicz drzewem szerokich gałęzi,
Z pniem grubym, z czołem patrzącem w obłoki,
Ale grunt, który korzenie mu więzi,
Już mu niestarczy na pożywne soki.

A drzewo takie pada samo w lesie
Olbrzymim trupem — wtedy podejść blizko,
To kilka dłoni olbrzyma podniesie
I spruchniałego rzuci na ognisko.
Niechaj potrząśnie raz wolności ręka
Carskiéj budowy kunsztownémi wroty,
Wyłamie — to wraz spaczy się, popęka,
Runie złep strachu, zbrodni i ciemnoty.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu,
Jako straż przednia męczarni i nędzy,
Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Niepłaczmy po nim, on odpocznie przędzéj.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów
Na długo, długo pójdziem w step daleki,
Zanim pod knutem dzikszych jeszcze katów
Nieodpoczniemy w kopalni na wieki.

RAUDAS PIÉRWSZY.

I.

Jesienny wicher chyli ku jezioru
Jodły i sosny wilgotnego boru,
Szumi sędziwych dębów święte grono
Koło pagórka, gdzie stos nałożono.

Już Wajdeloci pod Krywejty wodzą,
Już tłumy zbrojne z gęstwiny wychodzą,
Rąbiąc mieczami pośród zawieruchy,
Krzyczą: precz z drogi, precz piekielne duchy!

Na mokrym piasku stanął wóz wysoki,
Na krwawych włóczniach zdjęto Księcia zwłoki,
W zbroi, przy mieczu, z tarczą porąbaną.
Wstydem zmarszczyli czoła wojownicy,

Gdy bladem widmem wyjrzała z przyłbicy
Martwa twarz wodza, oszpecona raną.
Poklus wśród boju zwarł jej wzrok zuchwały,
Lecz z bólem klęski usta się zwierały.

Jak cug w pustkowiu- smętnie orszak woła :
— Któż tak obroni nam grody i sioła,
Kto tak zwycięzko dobędzie oręża?
Jeden był w Litwie...

Wraz przerwie donośnie
Krywe- krywejtas : — Więc juz niéma męża,
Więc w sercach waszych tylko bojaźń rośnie,
Gdy niepomszczony książe poległ w bitwie,
A wróg szarańczą pustoszy po Litwie?
Snać niedość jednéj ofiary, Poklosie,
Wskaż drugą, która gniew Bogów przebłaga,
By wrzała zemsta, zawrzała odwaga!

Rycerstwo zwłoki złożyło na stosie,
Przy nich łuk, sajdak, miecz ze lśniącéj stali,
Giermki sokołów, psów gończych dwie sfory,
Rumaka w zbrojnym rzędzie przywiązali
I jeńca w pętach.

Powtórzyły bory
Spiew wajdelotów oddźwiękiem potężnym :
— Niepłaczcie, bracia, niepłaczcie po mężnym!

On dziś z przodkami siądzie do biesiady,
Pośrodku chrobrych boju towarzyszów,
Zdala od Ruskiéj i Niemieckiéj zdrady,
Od strzał Mongolskich i szabel Lankiszów!

Gdy jęk orszaku płynie z sosen szumem,
Znowu Krywejty głos zabrzmiał nad tłumem:
— Gdzie morze trąca w brzegi bursztynowe,
Wśród świętych gajów naszego Romowe,
Gniewem piorunów mówią do mnie Bogi,
Kiedy na Litwie zwyciężają wrogi.
Z jękami gromów schodzą wodze starzy,
Kiedy wróg w ziemi naszéj gospodarzy.
Tak zszedł Mindowe, ciekła mu z pancerza
Krwawa łez bruzda, pośród burzy ryków
Wszasł: Kiedy Litwa sobie niedowierza,
Niech zginie w jarzmie plemie nikczemników!

— Niezginiem, starcze, krwi przelejem strugi,
Może znów zjawi się Mindowe drugi! —
Z pobrzękiem mieczy- krzyknął orszak zbrojny.

Naraz się lice wyjaśnia Krywejcie
I uroczyście woła: — Stos rozgrżejcie!
Dzięki-Perkunie, dzięki władzco wojny,
Groźny Pokłusie, żeś wskazał ofiarę!
Bo téż mi pora zrzucić lata stare.

Sypcie pazury rysie i niedźwiedzie! *
Ja dziś zasiądę z księciem na biesiedzie.
Ja za was wszystkich przysięgnę Mindowie,
Że u nas wrogów niedługie gospody,
Bo w naszych borach, u tych jezior wody,
Zawsze tak dzielne syny jak ojcowie. —

Nagle odrzucił zwierzchni strój wspaniały,
Szybko przybliżył się pod stos pogrzebny,
A siwe włosy i broda błyskały
Jak śnieg w księżyca blasku — biało-srebrny,
Z oczu tryskała jasność tajemnicza,
Jakby z płomieni wieczystego znicza.

Z jękiem zdumienia orszak mu odpowie:
— Czyż tacy mściwi są nasi Bogowie?
Biada nam, biada, kiedy osieroci
Rodzic swe dziatki w najkrwawszéj potrzebie.
Żyj nasz rodzicu, to my, wajdeloci,
Rycerze, giermki spłoniemy za Ciebie!

Lecz starzec woła: — Na imie Perkuna
Stos zapalajcie, niechaj bije łuna
Na cała Litwę! W wichrów nawałnicę
Rzucajcie prochy nasze nie w łzawnicę,

---

* Obacz opisy pogrzebów pogańskiej Litwy w kronikach Stryikowskiego, Kojalowicza, w dziełach Narbutta, w Kraszewskiego Witoloraudzie i Anafijclasie.

By pył ich każdy jak krwawa gadzina
Wpoił się w serce każdego Litwina...
I póty ssał je piekielnemi męki,
Póki w krwi wrogów nieumyje ręki!

Wbiegł na stos, płomień chciwie na-ń spoziera,
Radośnie jeszcze wołał starzec wieszczy:
— Wielki Perkunas ześle bohatera,
Co zgromi wrogów. —

Stos gniewa się, treszczy,
Słup ognia bucha, w milczącém jeziorze
Nurza się jakby płomieniste zorze.
Jęk ludzki, wycie zwierząt poparzonych,
Budzi w gęstwinach żubrów przerażonych,
Pędzą na oślep, wstrząsając grzywami,
Aż święte łosie pomiędzy sosnami
Stają zdumione, aż rycerskie harce
Przerwali młodzi, zapłakali starce,
Którzy z bawolich rogów alus piją.

Dym gęsty pomknął przez bór czarną szyją.

A po nad stosem, wśród dymnego mroku,
Ku chmurom wznosi się postać olbrzyma
We zbroi, konno, pędzą gończe z boku
I swych sokołów na prawicy trzyma.

A jeszcze wyżej wznosi się nad stosem
Druga olbrzymia postać z srebrnym włosem,
Mknie po za chmury jak ognista wstęga,
Lud krwawą zemstę na wroga przysięga.

II.

Bo mąż wielkiego ducha, wielkiéj woli,
Gdy w swéj ofiary potęgę uwierzy,
Krew swą posieje na ojczystéj roli,
To z krwawéj siejby wstaną bohaterzy.

Więc chociaż Poklus tłuszcze wrogów niesie,
Co w Litwie krwawe orają zagony,
Odżył Mindowe w hardym Witenesie,
Podniósł Giedymin miecz niezwyciężony,
I tyle dzielnych prawic nim błysnęło :
Olgierd i Kiejstut, Witowt i Jagiełło.

Bo zawsze- czy za Litwy starych czasów,
Czy gdy z bratniego ludu szczeréj dłoni
Krzyż stanął pośród nieprzejrzanych lasów,
Na tarczy pomknął Orzeł przy Pogoni,
Choć we krwi ludu płużył wróg-morderca,
Choć się wyrodek jaki w klęsce skalał,
Zjawiał się Litwin potężnego serca,
Który swą ziemie budził i ocalał.

RAUDAS DRUGI.

I.

Spi ciche sioło, w bory otulone...
Bój męczenniczy kona już dokoła,
Ale powstańcy nieweszli w tę stronę,
Choć za nich modlą się po chatach sioła,
Bo, wbrew podchwytnym obiecankom Cara,
Wiąże ze swymi krew, serce i wiara.

Bo gdy w zamierzchłe to ustronie Żmudzi
O walce z Moskwą wieść dobieży głucha,
W przygasłém chłopków oku żar się budzi,
Iskrą płomienną z żrenicy wybucha,
Jakby we wrogów pierś mierzyli kosę,
A wkoło płaczą dziewki jasnowłose.

Spi ciche sioło, marząc czy o świcie
Bóg ześle słotę lub słonko zapali?
Noc ciemna wdziała szaréj mgły okrycie,
Wtem psy zawyły- i oddział Moskali
Wysunął z boru jak dzik z trzę sawiska
Przystanął, kłami bagnetów zabłyska.

—Rebiata! spędzić mi z chat wszystkich chłopów,
Kolb i nachajek wsypać dobrą miarę.
Ciemno! zapalić chat i stodół parę,
I do płomieni nieżałować snopów. —

Kazał oficer.

Dla Carskiej rebiaty
Mordować spiących, bezbronnych- to swięto!
Dziki śmiech z jękiem wstrząsnął wszystkie chaty,
Jakby psów sfora, szczuta krwi zachętą,
Pędzą wpół- nagich, zwleczonych z pościeli,
Co się tak nagle i krwawo ocknęli,
Mężczyzn, niewiasty, starców, drobne dzieci,
A pożar z czterech rogów sioła świeci.

— Księdza- powstańca skryliście, zbrodniarze!

Wrzasnął oficer, krwawiąc ludziom twarze.

Prózno zaklina się trwożna gromada,
Próżno mu niewiast kilka do nóg pada.

— Milczycie? dawać tu pałki i pletnie!
Zaraz się język buntowników przetnie.
Baby pletniami a na chamów pałki.
Zimno! rebiata palnijcie gorzałki! —

Ciało w kawały rwą pałki i pletnie,
Lecz nic niewiedząc, biedni męczennicy
Jękami tylko mówią.

— Szubienicy
Na buntowników! Ot- ich krzyż w pobliżu,
Będziemy wieszac psów na ich psim krzyżu!—
Pieniąc się, wołał do pijanéj roty
I do kozaków porucznik piechoty.

— Hurra! ochoczo rebiata wrzasnęła,
Żwawo się bierze do oprawców dzieła,
Już stryczek wisi na krzyża ramieniu,
A jęk i pożar huczy w nocy cieniu.

II.

Gdzie bór pomyka aż do wioski łanów
Wysoki człowiek darł się przez gęstwinę,
Z pod jego szaty brunatnych łachmanów
Trąciła czasem szabla o choinę,
Słysząc jęk biednych i okrzyki dziczy,
Patrząc na pożar, zawołał w goryczy:

— Jeżeli dla nas niezrządziłeś cudu,
Jeśli-ś nas rzucił znów pod stopy wroga,
Z męk naszych potem wnijdzie wolność ludu,
Więc w nich uznałem rękę mego Boga.
Lecz na maluczkich biedaków w siermiędze,
Czemu zesyłasz naszych męczarń nędzę?

— Czy tylko krwawych ofiar jęk Ci miły,
Jak starym Bożkom, co w tych lasach żyły?

— Biedna na Litwie dziatwa Chrześcijańska,
Którą rozciągasz na męczarni łoże,
Czyli ma wierzyć, że Cię moc szatańska
Już zwyciężyła, nieśmiertetny Boże?
Bo gdy jej przodków krwawe Bożki wiodły,
Bój bywał krwawszy, lecz wróg nie tak podły.

— Groźną szarańczą szły hordy Mongoła,
Chytre Krzyżactwo kłamiąc wiarę zbawcy,
Grabiło nasze osady i sioła,
Jak wrogi — zbójcy... ale nie oprawcy.

— Jęk był znów straszny i rąk załamanie,
Gdy za Twą wiarę wrzała walka święta,
Gdy krwawym szlakiem gnali Muzułmanie
Wrogi — morderce... ale nie zwierzęta,
Którym tak dawno do krwawej paszczęki
Ciskasz nas, patrząc spokojnie na męki.

— Skardze goryczy, co mi z ust wypadła,
Wybacz, bo żmija bólu serce ściska.
Wiem, że mnie pewno szuka dzicz zajadła
I za mnie cierpią niewinni ludziska,
W borach tych carskie psy mnie już stropiły.
Wybacz mi panie! Ja pójdę, daj siły!

III.

— Unteroficer! zaczniemy od dziada!
Będziesz mu brodę po włosie wyrywał.
A gdyby jeszcze dziad nic niewyśpiéwał,
Bierz go na stryczek... wnuczka się wygada.
Choć blada, chuda — przyłóż jéj nahajki
Ostro — tymczasem daj ognia do fajki!

Unteroficer miał w tych dziełach wprawę,
Lecz gdy mu na dłoń z siwych włosów pękiem
Krew zabryzgnęła, gdy z nieludzkim jękiem
Zemdlony starzec upadł na murawę...
Kat wspomniał chałę rodzinną — daleko,
I w niéj na przyzbie własnego rodzica,
Z taką- że brodą, bieluchną jak mleko,
Z taką zadumą zgrzybiałego lica...
Więc zadrżał, zimny pot z czoła ociera,
Opuścił ręce w osłupieniu głuchem,
Porucznik za to dał mu w twarz cybuchem
I zbił trzy zęby unteroficera.

Na miejsce jego wbiegł kozak opiły,
Z bydlęcym śmiechem schyla się ku ziemi,
Lecz już trup tylko z oczyma szklistemi
Leżał tam sztywny, krwawe łzy broczyły
Lice i świtę.

Kozak stryczek wkłada
Na szyję trupa.

Nagle wystrzał pada
Blizkiéj pikiety — i człowiek wysoki
Z szablą, w łachmanach, pospiesznemi kroki
Idzie od krzyża.

— Hej rebiata do mnie!
Zasadzka — wszyscy stać w wojennym szyku!
Dzielny Porucznik wołał nieprzytomnie.

— Sam jestem, niedrżyj, Carski rozbójniku!
Księdza- powstańca w tych borach szukacie,
Coście go wczoraj przy spalonéj chacie
Widzieli, lecz wam uszedł gęsłym borem,
Dzisiaj spotkaliście go nad jeziorem,
Ale wam nagle zniknął w oczerecie?
Jam ów ksiądz — a wy tutaj mordujecie
Niewinnych ludzi...

— Jak przed sądem Boga
Za chwilę pewno z ciała się wyzwolę,
Przysięgam, nigdy-m niepostał w tém siole.
Jam wrogiem waszym, więc morduj mnie, wroga,
Dorzuć ofiarę do ofiar swobody,
Lecz niemęcz biednych, niepal im zagrody!

W oku Moskala zabłysły pochodnie
Dzikiéj radości. Tak patrzy złoczyńca,
Kiedy bezkarnie może spełnić zbrodnię,
Tak wilk spozierac musi, śród gościńca,
Widząc za końmi opóźnione źrebie.
Połknął dym z fajki, rozśmiał się do siebie.
W myśli mu awans kapitański tańczy,
Gratyfikacja, Anna trzeciéj klassy.

—Nu- ty-ś się poddał sam, pan ksiądz powstańczy,
Choć to nierzadkość w te wojenne czasy,
Lecz widze w tobie sprytnego człowieka.

Rzekł, kiedy księdza trzymano zdaleka.

— Chcesz się poświęcić za chłopów, ty sztuka
Harda, choć mnie twój wybieg nieoszuka.
Żeś w siole niebył, wierzę, ale wiedział,
Bratku, ktoś z sioła, co ty w boru siedział.

Ja rozkaz spełniam, sioła niewybawię,
Na popiół spalę, rozpędzę gromadę...
Słuchaj — rzekł ciszej- wiem jedyną radę,
Chyba, że zechcą przejść na prawosławie.
Ty nie, bo ty masz serce niezachwiane,
Ale wpłyń na nich, gdy przysięgę złożą,
Przygasim pożar, pletni zaprzestanę
I może tobie, za pomocą Bożą,
Los twój oslodzę — czestne słowo, księże!

Ksiądz żywo odparł:
— Gromada przysięże!

I wraz do ludu po Żmujdzku zaczyna:
— Słyszycie, bracia, tego poganina,
Jak na niedolę naszą plwa bluźnierca,
Jak bluzga błotem w Żamajtysów serca?

— Wszak przysięgacie, że choćby katuszy
Przestali wrogi, sypali wam dary,
Nieodstąpicie ojców waszych wiary,
Plugawym popom niesprzedacie duszy?

— Wszak przysięgacie, że wśród mąk nad siły
Tak się przed katem z trwogi nieponiżem,
Abyśmy gardząc naszémi mogiły,
Mieli się modlić przed Moskiewskim krzyżem?

— Wszak przysięgacie?
Słychać ciche szmery,
Wtem przy pożaru skwierczącym hałasie
Zabrzmiał głos ludu zbolały lecz szczery:
— Tak! przysięgamy, ojcze Kunigasie!

— Co, księże, szczekasz czartowskiem narzeczem?
Wrzasnął Porucznik, co nieco po Żmudzku
Wkońcu zrozumiał. — Gdy niechcesz po ludzku,
To ciebie, zwierze, z chłopami zawleczem
Do Murawjewa, on dobrze zapłaci
Za to kazanie do Żmudzinów braci.
I ja téż trzymam się jego zwyczajów.
Rebiata! Sypnąć mu pięćset nahajów!

A ksiądz się modlił cicho: — Przez dni cztery
W ustach niemiałem nic prócz wody z strugi,
Jak wątłe drewno pod cięciem siekiery,
Jeśli osłabnie ciało Twego sługi
I będę błagał miłosierdzia katów...
Panie! Twym duchem ożyw słabość ciała!

Nagle wyrywa się z pośród sołdatów,
Siły w rozpaczne łącząc wysilenie,
Gdzie blizko chata płomieniem buchała,
Pobiegł mdlejący i wskoczył w płomienie,
I jeszcze z sykiem poruszonych węgli
Brzmiał głos: pomnijcie, żeście mi przysięgli!

IV.

Za pożegnanie z czynem kapitańskim,
Gratyfikacją i Anną w petlicy,
Porucznik krzywiąc twarz śmiechem szatańskim,
Wrzasnął : — Zapłacę ja wam, buntownicy!
Hulać rebiata — na cześć Murawjewa,
Hurra Murawjew, świętej Rossji słońce!...

Przerażający płacz niewiast się zlewa
Z ponurym jękiem ludzi, których Dońce
W płomień rzucają, z płaczliwemi krzyki
Dzieciątek, które wdziewają na piki...

V.

... W dalekie strony zagnali gromadę,
Wicher szczątkami zgorzelisk pomiata,
Gdzie gwarne sioło, dziś pustkowie blade,
Gdzie żyzne pole, stepu łysa szmata,
Blizna jałowa wśród borów zieleni...
Straszna, kiedy ją słońce opromieni,
Straszna gdy kruków i wron stada całe
Kraczą dziękczynną cześć Murawjewowi

Za świeże trupy, gdy wilki zgłodniałe
Wyjąc po nocy, krążą wśród pustkowi,
Słraszniejsza, kiedy lud z poblizkich włości
Patrzy na zgliszcza ze łzami wściekłości...

Ten lud, co jeszcze piersiami pełnemi
Niemógł odetchnąć na rodzinnéj ziemi,
Co chociaż w krwawym znoju żywot wlecze,
Zachował przodków prastare narzecze;
I chociaż z serca czci Chrystusa wiarę,
I z serca kocha swoich kunigasów,
Marzy, iż jeszcze mściwe Bogi stare,
Burzliwą nocą budzą się wśród lasów,
Płacząc nad Litwą.

Pomimo prostoty
Starą swą mowę gnie w ostrożne zwroty
Wężów, co chowa i karmi w komorze.
On w swym wiekowym, wytrwałym uporze,
Jak twardéj rudy pokłady milczące
W jamie, gdzie światło górnicze przyświeca,
Lecz włóż ją w ogień, niech jéj strugi wrące
Wylecą z hukiem z górniczego pieca,
To z nich wraz ludzkie robocze prawice
Wykują pługi, kosy i szablice....

VI.

Tyle znów kości bieleje po łanach,
I tylu obcych wydzierców po dworach...
Ale jak stare sosny szumią w borach,
Tak stara Litwa żyje w kurnych ścianach.
Daremne katów krwawe najgrawanie,
Daremnie we krwi kąpie się oprawca,
Gdy z miast i dworów mścicieli niestanie,
Z chat kurnych wstanie mściciel i wybawca.

W Górach.

I.

Myśmy wtedy szli do chat,
Z miasta ofiar i boleści,
Nieść braterstwa szczere wieści.
I wierzył im chłopek-brat:
Dłoń nam tulił w szorstkie dłonie,
W szczęsnym chylił się pokłonie
Przed sztandarem rozpuszczonym,
Jak bezbronnych krew-czerwonym.

Myśmy wtedy szli do miast,
Rzec równości wyraz żywy,
Zdeptać przesąd-chwast zjadliwy,
Przez ciemięzców siany chwast.

Dźwięczał bratni krzyk wesela
Z piersi Chrześcjan i Izraela,
Gdy ujrzała miejska wiara
Krwawą barwę w tle sztandara.

Wtedyśmy do dworów szli -
Wspomnić groby niepomszczone,
Krzywe szable- niesplamione
W krzywdzie i w bezbronnych krwi.
Łzawe oczy nas witały,
Gdy zabłysnął orzeł biały,
Jak wolności godło święte,
W krwawy całun owinięte.

Gdyśmy doszli — srebrny świt
Slizgał się po gór zagięciach,
Jeszcze w szaréj mgły objęciach
Drzémał święto- krzyzki szczyt.
Jeszcze wiały nocne chłody
Po nad łany, po nad wody —
Wtem na słońca promyk świeży
Błysnął szczyt i krzyż na wieży.

Jodeł, świerków, buków szum
Wita nas poranku czarem,
Liście chyli przed sztandarem,
A ku górze ludu tłum

W różnobarwnéj płynie fali,
I hymn, co się kornie żali,
Dźwięczał męzkim żalem godnym
Ku niebiosom, ku pogodnym.

Złączył wtedy zgody dzień
Pod sztandaru barwy lśniące,
W jedno serce — serc tysiące,
W jeden duch — tysiące tchnień.
Z ducha mocą, z wiary siłą
W ciemną przyszłość się patrzyło
Pośród naszych kół braterskich,
W owych górach Sandomierskich.

Gdy raz pierwszy wśród tych gór
Garstka mężnych szła na wroga,
Kiedy niebrzmiał chór do Boga
Ale strzałów groźny chór,
Czemu sztandar nasz ludowy
Nieprzodował garstce owéj,
Po nad łuny siół spalonych,
Nierozwijał barw czerwonych?

I dopiero później tam —
Już przy schyłku krwawéj burzy,
Wśród tych jodeł, wśród tych wzgórzy
Zaczerwieniał tenże sam.

Dziki mord szerzyły wrogi,
Gdy witały wiejskie progi
Szczerem sercem sztandar bratni,
Kos powstańczych szczęk ostatni.

II.

Marząc tak wśród obcych skał,
Gdzie krzewiny zeschłe wiszą,
Czy sen? tą wieczorną ciszą
Bym tu Ciebie ujrzeć miał?
Ciebie, com wspominał sobie
Różą wiosny, dziś w żałobie,
Jakby z jesiennemi szaty
Na cmentarzu- blade kwiaty.

Jeśli sen- niech łudzi nas!
Patrz! kłąb dymu z nad doliny
Zda się płynic, niby siny,
Przezroczysty zdroju pas.
Jak ta złuda światłocienia,
Niechaj obraz przypomnienia
Z całą złudą mi powtórzy,
Urok Sandomierskich wzgórzy!

Przy uniesień jednej skrze
Niechaj zgaśnie zwątpień pruchno,
Niech goryczy skargi zgłuchną,
Smutek się rozwieje w mgle!

Tak męcząca życia susza,
Tak ochłody pragnie dusza,
Choć marzenia jeszcze wieńczy
Wiary w przyszłość czar młodzieńczy.

Nie- to nie sen. Dziwny los
W obcych stronach nas jednoczy,
Znowu patrzę w twoje oczy,
Znów mi szepcze tęskny głos,
Że po znoju tym tułaczym,
My się jeszcze tam obaczym,
Gdzie powiewał nasz czerwony
Sztandar- po nad górskie strony.

MOSIEK.

I.

Dzwonek uderzył, chłopcy przez ławki
Skaczą i biegną ze szkoły.
Tuż bieli Wisła, więc na ślizgawki
Podążył orszak wesoły.

U wszystkich spięte w górę mundury
Jak u stupajek na warcie,
Lecz z ócz nie chytrość, nie strach ponury,
A śmiałość patrzy otwarcie.

Z figlów na lekcjach młódź się przechwala
Barwnym studenckim językiem :
Jak ów zwiódł Niemca, ten drwił z Moskala,
Co go przezwali Rurykiem.

Był to sztabs- rotmistrz, za awantury
  Wykréślon z pułku kontroli,
Teraz Rossyjskiéj literatury
  Profesor — po Carskiéj woli.

Chociaż nieumiał nic a nic wcale,
  Lubiła go młoda zgraja,
Bo młode zgraje sprytni Moskale
  Uczyli za Mikołaja.

Ruryk moralnym niebył dziwakiem,
  Pozwałał uczniom na żarty,
Z starszymi chodził na czaj z arakiem,
  Prosił do siebie na karty.

Choć miał w kieszeni pusto- jak w kuble
  Pustym- a długów okropnie,
Za kilka rubli, za cztery ruble
  I za nic dobre dał stopnie.

A że, podobnie wielu Rurykom,
  Wielbił on Laszki koteczki,
Więc przy gitarze starszym młodzikom
  Lubił piać tkliwe piosneczki:

Trojkę, kwiat czarny lub tęskno- dziką
  Mało- rusińską sierotkę,
A czasem nawet, z Glinki muzyką,
  I Mickiewicza Pieszczotkę.

Takim był Ruryk. — Płynne śniadanie
Dziś gdy niewyszło mu z głowy,
Nad brzegi wisły zszedł niespodzianie
Przewietrzyć nos rubinowy.

— Nu- rzecze zdrowo, moi panowie!
Slizgawka rzeźwi naukę —
Czort, że mi właśnie niesłuży zdrowie,
Bobym pokazał wam sztukę.

— Służąc w Klastyckim huzarskim pułku,
Gdzie to mołodcy niezmierni,
Było zapytać o mnie w zaułku
Każdym w Penzeńskiej Gubernji.

— Ja i mój krewny, syn Pułkownika,
Wśród dam, przed Jenerałową,
W łyżwach po lodzie cięli walczyka
I galop... czestnoje słowo!

— Niech pan profesor teraz nam wytnie
Galopa albo walczyka! —
Smielsi chłopacy proszą podchwytnie,
Smiejąc się w duszy z Ruryka.

— Nu nie- bo głowa boli potrosze,
Nużące nauki ścisłe,
I chłodno... kilku z panów zaproszę
Na szklankę czaju, za Wisłę!

Zaprosił kilku, kilku zazdrośnie
  Patrzy na wybór Ruryka,
A zgraja młodszych wrzeszcząc radośnie,
  Strzałą po lodzie pomyka.

II.

Zimowe słońce bladawe śmiechy
  Rzuca po lodzie i śniegu,
Szczypie w twarz mrozem... Wtem śród uciechy
  Brzmi głos płaczliwy na brzegu:

— Aj waj Panowie! Kiedy niemogę
  Slizgać się za nic na świecie,
Bo mi mówiło mame, że nogę
  Złamnę — i czemu ciągniecie?

Tak się zaklinał, wywijał z tłoku
  Żydek w jarmułce, z pejsami,
Gdy go figlarze z góry i z boku
  Ciągnęli na lód żartami.

Wątła i zgięta postać Żydziny,
  Blada- jak kawał pietruszki,
Obwisłe ręce, cienkie nóżyny
  Jakby pieprzowe cybuszki.

—Wstyd wam iść z biédnym Żydkiem w zapasy!
Zawołał donośnym głosem
Student już starszy i z wyższéj klasy,
Wesołych oczu, z blond włosem.

— Co się tak, Władku, ujmujesz czule?
To Mosiek, to syn Cwajera,
Łotra- lichwiarza, który koszulę
Ostatnią z biédnych obdziera.

— To syn Cwajera! wrzasł do chłopaków
Ruryk. — Ja téż sto całkowych
Winien Cwajeru, kilka kułaków
Sypcież Mośkowi — a zdrowych! —

Na tę zachętę- wraz kilka pięści
Groźne natarcie wymierza,
Mosiek oniemiał, w zębach mu chrzęści,
Jakby kot skoczył z wybrzeża —

I pomknął przez lód. — Goń, goń szajgeca!
Kilku chłopaków go draźni.
Ale tak kota strach niepodnieca
Jak Mośka napad bojaźni.

Bez tchu, na oślep biegnie gdzie drugi
Brzeg i gdzie cieńsze wkrąg lody,
Nagle się potknął, upadł jak długi,
Lód pękł, wpadł z jękiem do wody.

Krzyknęła drżąca chłopców gromada.
— Czort! ot niedobry wypadek! —
Sentencjonalnie Ruryk powiada,
Lecz pędzi już naprzód Władek.

— Kiedy ich błagał byli oziębli,
Lecz chętni Moskala radzie...
A nuż utonie Żydek w przerębli —
Pędząc, wyrzucał gromadzie.

Dobiegł — na szczęście, woda tam płytka
Szła, bo prąd rzeki daleko,
Wraz omdlałego wyciąguął Żydka,
Sinych ust, z zwartą powieką —

Zmokłego, jakby płaczący w sieni
Parasol po nawałnicy,
Zbladłego, jakby liść na jesieni,
Jak wosk gasnącéj gromnicy.

Na brzegu płaszczem go swym obrzucił,
W poblizkiéj gospodzie złożył,
Rozebrał... Mosiek wnet się ocucił
W cieple, powieki otworzył.

A z jego oczu czarnych, ognistych
Po chudém, bladém obliczu
Spłynęło kilka łez potoczystych
I rzekł: — Bóg zapłać paniczu!

— Słyszałem za mną panicz kochane
 Prosił, gdy bili mnie trocha —
Aj- jam utopił czapke futrzane,
 Będzie muie tłukła macocha.

— Już rok jak mame zawieźli moje
 Na kirkut czarnym kuferkiem,
Aj waj- macochy bardzo się boję
 O czapkę z lisiem futerkiem !

Gdy tak o czapkę skrzeczy Żydzina
 I gdy go Władek pociesza —
Z tętentem, jakby żrebców stadnina
 Przypędza studencka rzesza.

— Zuch Władek! — jeden z nich się odzywa
 Krucho już było z biedakiem.
— Z Ruryka rady — drugi przerywa —
 Dla Mośka mam czaj z arakiem.

— Pij- woła trzeci — bo to nie żarty
 Z ziębnąć po takiej kąpieli.
— To pewno Mośka czapka—rzekł czwarty—
 Cośmy ją z lodu podjęli.

Mosiek niechętnie połykał lurę,
 Ate na widok czapczyska
Z lisiem futerkiem — podskoczył w górę
 I łza mu w oku zabłyska.

— Aj waj- niech tałes podeschnie troche,
Rzekł po chwilowym namyśle,
To zaraz pójdę, ale macoche
Niepowiem, com był we Wiśle.

— A tate powiem — com chodził sobie
I skąpał sobie z przypadka,
Zresztą jak panicz każe tak zrobię
Bełkotał, patrząc na Władka.

— Poczciwyś Mosku! wraz na wyścigi
Różne się głosy ozwały,
Czy chcesz pierników, czy wolisz figi,
Może daktyle, migdały?

— Nu ja dziękuję, a proszę ino
Coby wy mnie już niebili. —
— Mośku! poczciwym jesteś chłopczyną,
Kochamy cię od téj chwili.

III.

Ocalonego Mośka widokiem
Gdy się nacieszyć niemogą.
Drzwi zaskrzypnęły, niepewnym krokiem
Wszedł Ruryk, zmarszczył brwi srogo.

— Nu- krzyknął groźnie, może to ładnie,
Coś z wody wydostał Żyda.
Ale ty niewiesz, bratku, co spadnie
Okropna na ciebie biéda.

— Panie Władysław! choć ty ze szlachty,
A ja ci przykroję buty,
Każę zsiec, wsadzę do hauptwachty,
A potem oddam w rekruty.

— Smiałeś mnie, com był rotmistrz huzarski
I służbą mogę się chlubić,
Co mam Jerzego, Annę i Carski
Medal — Moskalem nagrubić?

— Ja — Moskal? Kiedy cała Penzeńska
Gubernja może Ci przysiądz,
Że mój papinka koło Smoleńska
Posiadał dusz przeszło tysiąc.

— Ja? wasz najstarszy profesor w szkole,
Zgrubiony takiém przezwiskiem?
Nie, bratku, na to już niepozwolę,
To pachnie buntem i spiskiem.

— Zaraz doniosę do Dyrektora,
Jaka ty sztuka zuchwała!
Aby on doniósł do Kuratora,
Kurator do Feldmarszała.

— Ai waj, mój Boże, gwałt- co to będzie?
  Wrzasł Mosiek po téj perorze.
— A ja wam ręczę, jesteście w błędzie,
  Szlachetny nasz profesorze!

— Przesłyszeliście się mimowiedzy,
  Siergieju Iwanowiczu,
Niechaj powiedzą wszyscy koledzy,
  Spójrzcie po Władka obliczu!

— Czyżby śmiał myślić tak choć przypadkiem
  Czyżby tak rzekł choć nawiasem?
My najpokorniéj prosim was z Władkiem
  Za most, na poncz z ananasem. —

Tak rzekł układnie jeden z studentów,
  Krępy, barczysty chłopczyna,
Mistrz do psich figlów, psot i wykrętów,
  Syn polki, z ojca Rusina.

Lecz Ruryk groźne tocząc spojrzenie,
  Mruczał: — Już dość tych igraszek! —
Wtem kiedy trącił go w powonienie
  Ananasowy zapaszek,

Gdy za i przeciw w całéj rozterce
  Zrachował zmysłem szulerskim,
(A miał pijackie niezgorsze serce)
  Rzekł nagle z giestem żałnierskim:

— Czort mi tam chłopcu, który dorasta,
Szkodzić, aby mnie przeprosił!
Niech Żyd schnie prędzéj! Pójdziem do miasta-
Ja nie szpjon, cobym donosił.

IV.

Spłynął rok- krwawym zdrojem w potoku
Trucizny Mikołajowskiéj...
Władek już klasy kończył w tym roku,
Mosiek był w szkole Żydowskiéj.

I tak mu wdzięcznie w sercu, w pamięci
Tkwił panicz, co go ratował,
Że gdy się w szabes z domu wykręci,
U bram gimnazjum czatował —

W czarnym tałesie, w kapelusiku,
W błyszczącem obuwiu nowem,
Jak kruczek kiedy stojąc w trawniku,
Lśni pierzem czarno- stalowem,

Aby panicza dojrzéć koniecznie,
Gdy ujrzał, biedz do- ń jak z procy.
Panicz go witał, rozmawiał grzecznie,
Kupował ciastek, owocy.

Ale po szybkim upływie czasu
Gdy panicz miasto porzucił,
To Mosiek nieraz podczas szabasu
Nudził się, tesknił i smucił.

Nieraz gdy ojciec złajał go w domu
Za złéj macochy przyczyną,
Mosiek przy słole łzy pokryjomu
Łykał z szabaśną łokszyną.

Gdy nieco podrósł, chociaż w nim tlała
Pojętność ludu Jehowy,
Głęboki Talmud, mądra Kabała
Wcale mu nieszły do głowy.

Uczony belfer choć po niemiecku
Wygłaszał te tajemnice,
Mosiek — jak zimą kot na przypiecku—
Wciąż miał zaspane źrenice.

Marzył wciąż tylko o polskiéj szkole,
Mundurku, piłce, ślizgawce...
Wtem traf uprzedził chłopczyny wolę
I natchnął tak życiodawcę.

Że Cwajer chasyd, co z nienawiści
Do gojmów, darł ich ze skóry,
Dał Mośka do szkół dla swéj korzyści
Pomiędzy gojmów bechury.

By przezeń kociak głębszych przebiegów
Łapania myszy uczony,
Potem bogatszych swoich kolegów
Pchał ojcu w lichwiarskie szpony.

Mosiek się ocknął wśród chwackiéj dziatwy,
Jak kwiat przy wiosny podmuchu,
Wykład po polsku tak dla-ń był łatwy,
Tak mile dźwięczał mu w uchu.

Że mniéj pojmując innych przedmiotów,
Co obcą słuchał je mową,
W polskiéj się pozbył Żydowskich zwrotów,
R przestał mówić gardłowo.

I ten chuchraczek, co przez pomyłkę
Zda się żył, wątły był taki,
Zmężniał, gdy zaczął często grać w piłkę,
Ślizgać się, bić na kułaki.

A Ruryk? Ruryk w swoim przedmiocie
Rok rocznie bywał uczeńszy —
I rok mu rocznie rubinów krocie
Wieńczyło nos wciąż czerwieńszy.

V.

Czas przemknął szybko kilku latami...
Władysław mieszkał w swym dworze
Na wsi- a Mojżesz nad rachunkami
Giął się w kupieckim kantorze.

Choć stary Cwajer go znienawidził,
Chcąc ze- ń lichwiarza wychować,
Że- jak on trefnem, tak syn się brzydził
Lichwą i niechciał szachrować.

Choć stary Cwajer miał wprost za głupca
Tego mądrego studenta,
Co wolał trudną pracę u kupca
Niż z łatwéj lichwy procenta,

Co mając ze szkół przyjaciół wielu,
Smiał z nimi każdego czasu
Jeść trefne — i bez zarobku celu
Bawić się we dnie szabasu.

Mimo to Mojżesz żył bezustannie
Z goimów czeredą całą,
Nawet się w polskiéj zakochał pannie
Pierwszą miłością nieśmiałą.

W siostrze kolegi, ładnéj dziewence,
  Co niewiedziała zapewne,
Że na twarz Żyda biją rumieńce,
  Gdy spojrzał w oczki jéj rzewne.

Co niewiedziała, że gdy jéj lice
  Grało tem rzewnem spojrzeniem,
Jak dwie zapałki Żyda źrenice
  Zaraz gorzały płomieniem.

Co niewiedziała snać, choć niewieście
  Główki sprytnością tchną samą,
Czemu tak często spotyka w mieście
  Żyda, gdy w miasto szła z mamą?

Niewinną wabność urok rozgrzesza,
  Jak ciernie kwiatu woń kwiatu...
Raz jednak zdziwił ją wzrok Mojżesza,
  Smiejąc się, rzekła cóś bratu.

Ten zawsze chętnie przyjmować raczył
  Swego szkolnego kamrata,
Lecz odtąd Mojżesz już niezobaczył
  Siostry w pokoju u brata.

Wkrótce urzędnik z świetną fryzurą
  Stanął na ślubnym kobiercu
Z ładną panienką... Jakże ponuro,
  Jak ciemno w Mojżesza sercu!

Nieraz w kantorze mu bez powodu
Łza gorżka zaćmiła oko-
Kochał, jak to się kocha za młodu,
Tając uczucie- głęboko.

Uczuł dotkliwie parjasa pietno,
Okrępowane przesądem,
Na swem nazwisku pogardę wstrętną,
Zbłoconą lichwiarskim trądem.

Nieraz- wśród przykrych wspomnień odmętów
Dawna się rana otwiera,
Słyszy nad Wisłą ów krzyk studentów:
Bij Żyda- to syn Cwajera!

Wtedy go Władek wydostał z toni,
Lecz dziś o Władku ni wieści!...
Trzeba samemu, bez zbawczej dłoni,
Błądzić w tajnikach boleści.

Aby nieupaść- i znów samemu
Iść dalej przez życia szranki...
Chwilowo stronił... znów po dawnemu
Żył z bratem swojej niebianki —

I z całem szkolnych kolegów gronem.
Wśród nich, przy gwarze zabawy,
Nieraz mu uśmiech błysł w zachmurzonem
Licu, zapłonął wzrok łzawy.

Wiedział, że wśród nich niejest parjasem,
  Że ci koledzy mu braćmi...
Niezna ten życia, komu się czasem
  W życiu łzą oko niezaćmi.

Choć czuł jak Polak, kraj kochał szczerze,
  Choć myślał jak Chrześcijanie,
Ale poprzysiągł sobie, że wierze
  Przodków swych wiernym zostanie.

Choć niepojmował Miszny, Gamory,
  Kabały ani Talmudu,
Lecz miał uczucie rzewnéj pokory
  Dla wiary swojego ludu.

Jakiś mu w duszy tęsknił gwar senny
  Tułactwa w piaskach pustyni,
Gdy ujrzał świecznik siedmioramienny,
  Słyszał dźwięk rogu w świątyni.

I wierzył, że jak lud ów przed wieki
  Wyrwał się z domu niewoli,
Tak z pęt przesądu czas niedaleki
  Potomków jego wyzwoli.

I że dwa ludy, dwaj męczennicy
  Jednym przykuci łańcuchem
Na kośćmi ojców sianéj ziemicy,
  Muszą zespolić się duchem.

VI.

Zbiegł dla Warszawy szereg lat nowy
  W nowego jarzma kałuży,
Wesołych- jakby śmiech gorączkowy,
  Co usta stroi, pierś mużу.

Pod Mikołaja krwawemi knuty
  Lud żył jękami i gniewem,
Za syna jego zdrzemnął- zatruty
  Usypiającym wyziewem.

Lecz chory, co choć w gorączce marzy,
  Jeśli posłyszy przy sobie
Cichy i zimny wyrok lekarzy,
  Że może umrzeć w chorobie.

Choć niemoc tłoczy go w każdym nerwie,
  Siły swe wolą natęża
I w przesileniu z łoża się zerwie,
  I wolą niemoc zwycięża.

Tak lud- gdy chytre katy mniemały,
  Że go na wieki uspiły,
Nagle się zbudził- jeszcze zbolały
  Lecz z wiedzą krzywd swych i siły.

I rzekł do katów głosem, co idzie
Jak sztylet wskróś piersi kata,
Że on w rodaku swym, w bracie żydzie
Uznaje własnego brata.

I rzekł do katów, że z szańców Pragi
Wciąż słychać jęk mordowanych,
I stos dziecięcych trupków wciąż nagi
Leży na piaskach wiślanych.

Że od Sybiru, od Kaukazu,
Od głuchych ścian cytadeli
Wciąż krwi zdrój bucha...
Kaci od razu
Gradem kul odpowiedzieli.

Jak się wraż żywiej zaroi w ulu,
Gdy brzękną osy, szerszenie,
Lud się wraz ruszył po nowym bólu,
Wraz począł swe odrodzenie.

Uczuł przy trwożnem morderstwie wroga
Męzkość w bezbronnych prawicach,
I za ból wznosił hymny do Boga
W kościołach i po bożnicach.

I wierzył kiedy szedł za pogrzebem
Olbrzymi orszak wśród miasta,
Ze kwiat przyszłości pod jego niebem
Już z pięciu trumien wyrasta.

W sercu Mojżesza zmilkł ból Parjasa,
Scichły miłosne rozczary.
Żałobna, wielka chwili tej krasa
Męzkie zbudziła w niém żary.

Jak po snach przykrych, co w mózgu błądzą,
Ktoby się rankiem ocucił,
Tak on z młodzieńczą do czynów żądzą,
W fale tej chwili się rzucił.

W imieniu wspólnych łez i męczeństwa,
Tłumy rozlicznych żydziaków
W pejsach, bez pejsów — na nabożeństwa
Wiódł do kościołów polaków.

Mówił, że Messjasz ów, co tęsknota
Wieków przyzywa go z płaczem,
Zjawił się, że nim naród-sierota —
Zbratan z plemieniem tułaczem.

Nieraz drżąc wspól-wyznawcy słuchali,
Jak z oburzeniem namiętnem
Mojżesz nikczemne mordy Moskali
Wzgardliwem naznaczał piętnem.

Lecz raz wskazując im swoje ramie,
Zranione wśród rzezi kwietnia,
Tak swym zapałem bojaźń ich łamie,
Tak męztwo w nich uszlachetnia,

Że zabrzmiał głośny szwargot w cukierni
  Gdzie zebrał swych towarzyszy,
— Mosze! mów ciszéj, my już ci wierni,
  My co chcesz zrobim, mów ciszéj!

Aż wreszcie stary Cwajer zaczyna
  Podnosić głowę do góry,
Wiedząc, iż tylko dla zasług syna
  Dotąd niezbito mu skóry.

I czy to grzbiet miał zazbyt łechciwy,
  Czy że o synu pamięta —
Dla biednych- jako pan dobrotliwy —
  O grosz obniżył procenta.

VII.

Chmurno... śnieg ściele mokre kobierce
  I łzami opada z krzaków,
Garstka powstańców na tyraljerce
  Wstrzymuje napad kozaków.

Padło szkap kilka z rżeniem ponurém
  I kilku z Dońskiej chołoty —
Pierzchli... lecz z za nich straszydłem burem
  Powstaje szereg piechoty.

I wraz do cęgłów przytknąwszy palce,
Chmarą kul plwa do zarośli,
Rozpierzchli Dońce — jakby padalce
Naraz skupili, się, zrośli.

I splot swój łamiąc na skrzydeł dwoje,
Pędzą śród śnieżnej zamieci,
A tu zaledwie po dwa naboje
W oddziale powstańczych dzieci!

Zgłodniałe konie jeszcze łby rzucą
Weselej niż ludzkie twarze,
Pocichu pieśni nabożne nucą
Ziębli, wpół- bosi kosiarze.

Patrząc na puste swe ładownice,
Zgrzytają strzelce, znawy,
A śnieg wciąż gęstszy pada im w lice,
Bliższy krzyk Dońskiej czerniawy.

—Naprzód! bo Moskwa da nam cios djabli—
Do Naczelnika pół-głosem
Szepnął oficer, wsparty na szabli,
Wesołych oczu, z blond włosem.

Dwór mu zrównali z ziemią Moskale,
Spalili wieś buntowszczyka...
Od wczoraj zjawił się w tym oddziale
I tylko znał Naczelnika.

Naczelnik chwilę radę rozważy
I odrzekł mu po namyśle :
— To- Władysławie — prowadź kosiarzy,
Strzelców na tyły im wyślę !

Władysław kosę do ręki chwyta,
Wznosząc ją, krzyknie potężnie :
— Hej- wiara- nim nas Moskwa przywita,
My powitajmy ją mężnie ! —

Jak wojennego marszu dźwięk twardy,
Głos ten orzeźwia żołnierza,
Tłum kos się ciśnie do awangardy
I z głośném hurra uderza.

A gdy z zarośli nagle się sunie,
Gdy kosy szczękną gromadą,
Znów się rozpierzchli na bok kozunie —
Jakby spłoszonych wron stado.

Ale wciąż gryzą i trapią z boku,
Gdy garstka drze się przez błota,
Wciąż zdala celnie dzierży na oku,
Praży Moskiewska piechota.

Władysław biegnąc przodem szeregu,
Wpada do kolan w mokradło —
Skacze- lecz kiedy stanął na brzegu,
Trzech Dońców nagle na-ń wpadło.

Kosiarze za swym dowódzcą biegą,
  A z krzykiem najpierwszy goni
Wysmukły Zuaw lica śniadego —
  I własną piersią go słoni.

Dońce ku grzywom schyliwszy karki,
  Pierzchają jakby kurzawa,
Jeden z nich zdala zmierzył z janczarki
  I z nóg powalił Zuawa.

Wtem nagle z boru w piechoty tyle
  Słychać — padają wystrzały.
Myśląc, że odsiecz, Moskwa w tę chwilę
  Trąbi odwrotu sygnały

I trwożnie po tem spotkauiu krwawem
  Cofa się w bór brzegiem rzeki…
Władysław schyla się nad Zuawem,
  Który miał zwarte powieki,

Zmywa mu śniegiem zimny pot z czoła,
  Krew, która piersi mu broczy,
Zuaw odetchnął, zwrócił do koła
  Zdumione, senne- wpół oczy.

Lecz wtem z ich źrenic czarnych, ognistych
  Po śniadém, męzkiém obliczu
Spłynęło kilka łez potoczystych
  I rzekł: — Bóg zapłać paniczu!

6

— Tak em już panu raz podziękował,
Jeszcze -m dziecięciem był prawie,
Gdyś mnie, biédnego Żydka ratował
Z Wisły, z pod lodu, w Warszawie.

— Toś Pan? toś Mosiek! bracie kochany!
Rzewnie dźwiękł głos Władysława,
Lecz krew strumieniem trysnęła z rany,
Zwarły się oczy Zuawa.

VIII.

Znowu lat parę łez i ucisku
Czas krwawym zorał lemieszem
W biednem poddaszu, w obcem mieścisku
Mięszkał Władysław z Mojżeszem.

Kiedy wracali po twardéj pracy
Do gniazdka swego pod niebem,
Jakże się bratnio dwaj ci rodacy
Dzielili sercem i chlebem!

Władysław przedtem był wsi dziedzicem,
Mojżesz miał ojca bogacza,
Lecz w obcéj ziemi los mdlym księżycem
Przyświéca doli tułacza.

Ze wsi została kupa popiołów,
   Lichwiarz niepisał do syna...
Czasem śród zmudnych, drobnych mozołów
   Tak męczy każda godzina!

Tak smutno, gdy się marzenie garnie,
   Gdy myśl już tęskni w rozkwicie,
Codziennie walczyć a walczyć marnie
   O czcze, codziennc swe życie.

Trudna! niezawsze los lekkiem kołem
   Toczy się w gładkiéj przestrzeni —
W kim czyste serce, ten z czystem czołem
   Stąpa swą drogą z kamieni.

Szczęsny, gdy bratni głos po pociesza
   Choć wróg go kąsa tajemnie...
Tak to Władysław cieszył Mojżesza
   Tak Mojżesz jego wzajemnie.

Czuli, że to ich bratnie przymierze
   Jak godło związku dwóch ludów,
Krwią wspólną zlane, silnie a szczerze
   Dotrwa wśród cierpień i trudów.—

I dotrwa święta wiara w wygnańcach
   W tych braciach z serca i broni,
Że jeszcze staną na wrógów szańcach
   I będą walczyć dłoń w dłoni.

Ogniem téj wiary kto grzeje siebie,
Choć los mu mgławo przyświeca,
Temu niegłodno o suchym chlebie,
Niezimno w izbie bez pieca.

Temu tęsknota daje łzy czyste,
Sny rzewne po troskach dniowych,
Snując mu Wisły brzegi piaszczyste,
Tchnąc szumem borów sosnowych...

IX.

A stary Cwajer? — Pan miljonowy —
Wystawniéj żyć rozpoczyna.
Ogolił brodę, zdjał krymkę z głowy,
Ni grosza niedał dla syna.

Na ucho jednak chasydom prawił:
— Mojsze? on głąb do szacherek,
Ale się Mojsze w powstaniu wsławił
Jak kiedyś wielki nasz Berek.

A Ruryk? Jak już raz w profesory
Go przerzucili z huzara,
Tak z profesora w czleny komory
Granicznéj — ukazem Cara.

Szybko — jak zwykle człowiek uczony —
Zbadał téj służby tajniki.
I z téj i z tamtéj granicy strony
Cenili go szwarcowniki.

Kiedyś on lubił piać przy gitarce
I dotąd muzykę cenił,
Więc się zakochał w pulchnéj arfiarce
I wkrótce z nią się ożenił.

Kupił wioseczkę z ładniutkim dworem,
By dziatki miały zabawkę.
Groziło śledztwo... w sam czas z honorem
Wziął z celnéj służby odstawkę.

Niechcąc być członkiem urządzającéj
Ani też śledczéj Komissji,
Siedzi w swéj wiosce, pośród krzyczącéj
Dziatwy — wesoły w dymissji.

Choć mniéj smakuje w czaju i wódkach
A bardziéj hołduje winu,
Zawsze na jego nosa jagódkach
Przeważa barwa rubinu.

SEN DZIECKA.

— Mama nie tam w cichym grobie
Przy wiejskim kościołku —
Na łóżeczku twém przy tobie
Usiadła, aniołku!
Do swej piersi cię przytula,
Głaszcze włoski złote —
I popieści i polula
Ładnego sierotę.

— Da ci cacek i zabawek,
Da wonnych różyczek —
I malinek i truskawek
Pełniutki koszyczek.
Potem śliczne dwa obrazki
W tak złocistéj ramie,
Że aż biją od niéj blaski,
Podziękuj- że mamie.

— Jeszcze powie ci bajeczkę
Wesołą, króciutką,
I zaśpiewa ci piosneczkę
Smutną lecz milutką.
Potem drobne twe rączęta
Do paciorka złoży,
Bo o Bogu kto pamięta,
Nad tym promyk boży.

— A gdy spłyną snu obłoczki
Do twego łóżeczka,
Pocałuje w modre oczki,
W różane usteczka
I popłacze kilka chwilek....
I zniknie z pokoju
Tak cichutko jak motylek
Od listka powoju.

— Lecz się, synku, niesmuć wcale,
Wnet na twéj pościeli
Siądzie tata, co Moskale
Na Sybir go wzięli,
Tam w kopalni biedny kuje
Pod skalistą ścianą,
On szabelkę ci daruje
Ostro szlifowaną.

— Kiedy brzękniesz nią z łoskotem
Rączkami drobnemi,
Pomnij, że masz walczyć potem
Z wrogami twéj ziemi,
Co zagnali w Sybir tatkę
Między lody same,
Podpalili naszą chatkę,
W grób wpędzili mamę.

— Niepłacz, mój pieszczoszku miły,
Mój tej jedynaczku!
Zanim wrócę do mogiły,
Jeszcze po buziaczku!
Ja popłaczę kilka chwilek
I zniknę z pokoju
Tak cichutko — jak motylek
Od listka powoju. —

Wtem dźwiękł dzwonek brzękiem nudnym
I z westchnieniem żalu
Chłopczyk budzi się na brudnym
Tapczanie w szpitalu.
Nagie, smutne sali mury,
Gdzie sierot gromada
Leży — a na niebie chmury
Szare i śnieg pada.

KUBA.

— Pijcież Kuba- oj nielubię,
Że się tak wzdragacie. —
— Bóg wam zapłać, mój Jakubie,
Ani krzyny — bracie!
Kiej wciąż na was tak siarczyście
Kozak z boku zerka,
Kiej raz z nim sie trącaliście
Z tego półkwaterka,
Macie swoję kompaniję,
A ja dziś niepiję.

— Co was, Kuba, tak rozwściekła,
Co was tak tarmosi?
Jak człek mieszka u przedpiekła,
Djabła w kumy prosi.
Choć człek wie, że przecie zmora

Ludzką krew wysysa,
Że głaszcz zrana do wieczora,
Nieoswoisz lisa,
Że choć niedźwiedź pląs wywija,
Zdradna to bestyja.

— Choć człek wié, że jak z kozakiem
Palnie sobie wódki,
Trza-ci język trzymać hakiem,
Zamknąć na trzy kłódki,
Słuchać ino, jak on gada
Po swojemu baśnie,
Bo-ć w nim zawdy siedzi zdrada,
Najzdradliwsza właśnie,
Im ci wódki więcéj miarek
Wytnie niedowiarek.

— Ta-ć to, Kuba, bracia nasi
Znów nietacy głupi,
Zbój nam grozi choć się łasi,
Ludków on niekupi.
Snopów nabrał moc w téj dobie
Z cudzego sąsieku,
Ciężkich — aby ulżyć sobie,
Dał z nich wiązkę człeku,
Człek choć biedny, ta-j rozumie,
Że zbój zbójem, kumie!

— Człek ci wié, że nędzy tyle
Wśród całego kraju,
Ile piasku na mogile,
Ile ptastwa w gaju,
Pan i mądry tak pod biczem
Jak człek prosty idzie...
Może -ć wszyscy jak się zliczem,
Żeśmy wszyscy w biédzie,
Ta-ć i weźmiem się za ręce
W téj okrutnéj męce.

— Wilki ostro za szkap śladem
Gnają, kiej szkap kilka —
Niech no szkapki idą stadem,
Ni na oko wilka,
Siedzi w boru, tuli uszy...
Tak niech raz gromadnie
Biédny ludek się poruszy,
To i zbój przepadnie,
Bo gromada jak rozżarta
Przemoże i czarta.

— Pijcież, Kuba, ku zagubie
Naszéj straszéj biedy —
— Bóg wam zapłać, mój Jukubie.
Ani krzyny, kiedy
Sołdat w karczmie dziegciem cuchnie,

Kozak bronią chrzęści,
Wraz do ślipia krew mi buchnie,
A tak swierzbią pięści.
Żebym gruchnął go na ziemię,
Na śmierć młócił w ciemie.

— Bo-ć człek służył u kosiarzy
Z intelligencyją —
I pamięta tych dziegciarzy,
Jak to rannych biją!
Jak kaleki do strzemienia
Troczą za ożydle —
I het ciągną bez wytchnienia
Kilka mil — jak bydle —
Jak ci dzieci, starców, baby
Mordują te draby.

— A baczycie- no Małgocha,
Sierotka za rzeką,
Dziewka gładka i niepłocha
A biała jak mleko.
Jak ci wpadło tam kozactwo —
Mimo łez i krzyków —
Jak schwyciło ci biedactwo
Kilku rozkójników,
Jak zawlekło do brzeziny,
Tak i trup z dziewczyny.

— Wasza córka dla was luba,
  Niech tak wam Kasicę,
Poterają? — Wara Kuba!
  Jeszcze-ć tkwią kłonice
W płotach, jeszcze kosa ścina
  Trawę i tatarkę,
Toby ścięła poganina. —
  No- wytnijcież miarkę,
Co mnie darmo wściekać macie? —
  — Bóg wam zapłać — bracie!

Jakub z Kubą w karczmie gwarzy,
  Wtem wszedł niespodzianie
Człek bez ręki, bladéj twarzy,
  W wytartéj sukmanie,
Kuba woła: — Ba i prawie,
  Toć Michał, Michale,
Siądźcież z nami tu na ławie,
  Jak-ci to w oddziale
Trącaliśmy się manjerką,
  Trącmy półkwaterką. —

I pił Kuba do Jakuba,
  Jakub do Michała —
Samo wciąż trzeci gadała
  Kompanija cała...
Kozuń wciąż wyszczerza zęby,

Niby to się śmieje,
Ale widząc, że do gęby
Nikt mu nic nieleje,
Skrzywił gębę djablo kwaśnie...
Niech go piorum trzaśnie!

WANDA-MARJA.

I.

*
* *

Tak zielono w tym ogródku,
Tak mi pachnie biały bez -
Zkąd wspomnienie cudzych łez
Wiąże się do mego smutku?

Zkąd tych kwiatków barwa biała,
Co weseli ciemny krzew,
Biały sznur mi przypomniała
Na grubéj żałobie?
Dzwonów głos, pogrzebu śpiew,
Cichy płacz przy grobie?

Zkąd dalekie, polskie strony,
Co się ciągną ponad Drwęcą,
We wspomnienia mgłach mi smęcą?

Zkąd w pamięci mi czerwieni,
Jak buk krwawy z drzew zieleni,
Mur w Piątkowie, mur czerwony
Zamku, co tą barwą cegły
Szczerą — zdala już wyraża
Szczere serce gospodarza
I duch jego niepodległy?

Tyle pośród szybkiéj jazdy
Malowniczych mignie ziem,
Tyle wspomnień pierzcha snem
Spadającéj gwiazdy!

Lecz są wspomnień stałe gwiazdy;
Z których takie światło błyska,
Jakbyś sam w wieczornéj porze
Marząc, patrzał się z urwiska
Na ich blask w jeziorze.

Stoi zamek przed oczyma....
Choć po łanach pruszy zima,
Kiedym w jasne wszedł komnaty,
Wiosna! Skromnych jak jéj kwiaty
Lic dziewiczych widzę czar,

Czuję gospodarza dłoni
Uścisk bratni — wkoło dzwoni
Téj młodzieży dziarski gwar,
Co gorąco tak dla sprawy
Serca jej szlachetne biły,
A dziś z wielu tylko krwawy
Stad ich męczarń lub mogiły —
I rozbitki z walk rozpaczy:
Garstka więźniów i tułaczy.

Niechaj każdy tułacz powie,
Czy go gdzie tak ugoszczono,
Tak się sercem podzielono
Po bratersku — jak w Piątkowie?

Gdzie się z młodych serc zapałem
Zgadzał kto żarliwszą wiarą?
Kto na przebój w życiu całem
Stąpał walką o ofiarą,
Tam śród chytrych wrogów matni —
Na lechickiéj ziemi złamku —
Jak gościnny tak a bratni
Nasz gospodarz zamku?

*
* *

Pachnie biały bez w ogródku,
Chociaż się na niebie chmurzy,
Teraz dźwiękom mego smutku
Dźwięk rzewniejszy jeszcze wtórzy.
Widzę postać tam dziewczęcia:
Ciemnowłosa, białolica —
W ustach igra śmiech dziecięcia,
W oczach marzy już dziewica,
Bo z tych oczu zda się płynie
Razem łza i iskra strzela...

Słuchaj śpiewu, gdy w wjolinie
Cicho zagra wjolonczela!
Choć tak rzewny — niewydoła
Oddać téj czystości dźwięku,
Co z dziewczęcia tchnęła czoła
Prosta — w swym dziewiczym wdzięku.

Dziewcze Polskę ukochało —
Jak jej ojciec — płomieniąco,
Za nią Boga wciąż błagało,
Potokami łez oblało
Świeżą skargę jej bolącą.

Widząc teraz koło siebie
Zastęp dziarski jej mścicieli,
Tak wierzyło, że w potrzebie
Krwawej z nimi będzie Bóg,
Że potęgi swéj udzieli
Aby z Polski pierzchnął wrog.

Czemu takie świeże kwiatki,
Gwiazdki rodzinnego kółka,
Ledwie dotkną życia siatki,
Jak powierzchni wód jaskułka,
Nim przed burzą w niebo wzlata,
Wraz pierzchają z tego świata?

Przed tym rokiem, gdzie wróg krwawił
Ziemię polską wszerż i wzdłuż,
Czemu w snach jej się pojawił
Nie ten jasny anioł- stróż,
Który srebrną mgłą promyków,
Skrzydeł puchem sny osłoni?
Ale anioł, co u skroni
Wieniec miał z nieśmiertelników
Suchych, które wieńczą groby —
Anioł przeczuć i żałoby.

Wraz w dziewczęcia myśl uroczą,
Jakby w listek gąsiennice,

Wpełzły przeczuć tajemnice,
Żądłem smutku duszę toczą
I malują gdzieś w oddali
Bitwy, mordy, szubienice,
Łzy i jęki w krwawéj zgrozie.
Pożar się dokoła pali,
A jéj zimno jak na mrozie,
Jak na krze Wiślanéj fali.

Gasną w oczach u dziewczątka
Iskry, co się z łzą bratały,
W licu bielsza, bledsza cera,
Jak ten bez, co obumiera
I odbija blado- biały
Od ciemnego swego prątka.

Próżno ojciec i rodzina
Pielęgnują — próżne leki!
Jak przycicha śpiew daleki,
Co go słuchasz z chaty progów —
Tak im w jasny dzień dziecina,
Marząc, że zwyciężym wrogów,
Zasnęła na wieki.

A gospodarz nasz nad życie
Kochał białe swoje dziécie.

Lecz gdy wkoło jęk niewieści,
Gdy płacz wszystkim oczy ćmił,
On straszniejszy w swéj boleści —
Cichy i spokojny był.

Swoich gości — po zwyczaju,
Żegnał smutno, witał chętniej.
Tylko wciąż o sprawie kraju,
Mowił żywiéj i namiętniej...

Aż lud polski z tamtych stron
Zbiegł się wszystek na tę wieść,
Ojca ból opłakał on,
Polakowi złożył cześć.

A duch córki się weseli,
Jak gra światła w łuku tęczy...
Pękła struna wjolonczeli,
Spiewu tego niedodźwięczy.

II.

*
* *

Mrok zwolna ocieniał uśmiechy zachodu,
Rozgłośna muzyka dźwięczała z ogrodu,
Świąteczny tłum krążył w uśmiechu i gwarze...

Wiatr chylił w wazonach palm karlich wachlarze,
Bladawa magnolja wznosiła kielichy
Z za liści szerokich — jak z tłumu żal cichy.

Wśród dźwięku i gwaru, wśród smiechu swawoli
Sęp wspomnień przylata i serce mnie boli.
Uroki melodji z kunsztowną harmonją
Kołacą do duszy — jak gdyby ironją —
Ten ogród mi zda się jak cmętarz zamiejski,
Na grobie tam rośnie krzew róży alpejskiéj,
O pomnik tam chyba cyprysy się wsparły,
Ja sam zda się chodzę — jak żywy- umarły...
To ciało tak cierpi znużone i chore,
Duch budzi się nagle, odżywia tę korę...

Niebędziesz tak konał, choć czujesz, żes żywy,
Jak wyjdziesz z pod strzechy na ziemi twéj niwy,
Choć wróg się tam pastwi i łu , że zetrze
Nasz naród prastary... masz własne powietrze
I bory i wody — i rośniesz w swéj darni
Nie chorą krzewiną w zamorskiéj cieplarni.
Niezajrzyj więc, bracie, w codziennéj rozpaczy
Sierocéj gromadce twych braci- tułaczy.

W powodzi tułactwa bezmiernym obszarze —
Patrz- jak się tęsknotą hartują wioślarze!

Znużeni, wybladli w straszliwéj powodzi
Pracują wytrwale wiosłami na łodzi,
By stał duch narodu i płonął blask znicza,
By górą po fali szła łódź męczennicza.

W powodzi tułactwa są czasem wybrzeża,
Co darń ozielenia, woń kwiatów odświeża,
Tam wioślarz, gdy krwawy pot z czoła mu płynie
Przychodzi odpocząć w braterskiéj rodzinie,
Tam przyjmą go z rzewnem witaniem tułaczem,
Podzielą się duszą jak dzielą kołaczem,
Tam niech go rodzinne powietrze owieje,
W gościnnem ognisku niech serce ogrzeje,
Niech mową rodzinną się chwilę pożali...
Silniejszy powraca do wiosła, do fali.

Znam, znam, że w zamęcie obcego mrowiska
Te świeże wybrzeża, gościnne ogniska,
Te serca gorące i dusze niezłomne...

*
* *

Dziś jednę, tułacza rodzinę wciąż pomnę,
Co w murach Paryża poznałem przed laty —
I zdaje się wchodzę w gościnne komnaty,
Gdzie rodzic dla kraju namiętnie się trudził,
A zacnej niewiasty blichtr obcy niełudził

Fałszywym połyskiem, świetnością pozoru —
W ich domu, jak gdybyś wszedł na wsi do dworu.

Tam widzę ich córkę — lechicką dziewicę...
Jej twarz zadumana i tęskne źrenice
Łączyły się w wyraz duchowy, głęboki —
Że patrząc w nie, wszystkie twéj ziemi uroki
Tęskniły ci w myśli i wszystkie cierpienia
Twéj ziemi bolały z dziewicy spojrzenia.

Chcesz wiedzieć co smętny nasz polski dźwięk znaczy,
Spojrz w oczy żon, matek, sióstr, córek tułaczy!

Czy z garstki braterskiéj zapomnić kto zdoła
Postaci téj rzewnéj cichego anioła,
Gwiazdeczki smętniącej nad domu ogniskiem?
Lecz życie to łąką — i grzązkiem bagniskiem,
Gdzie kryje się w chwastów wilgotne okrycie
Straszydło, co czycha na piękność i życie —
Bezwiedny oprawca niszczącéj potęgi,
Gdzie tylko zarzuci wężowe swe kręgi,
Tam radość wysysa, da boleść w ostatku,
Straszydło to — trafu, nieszczęścia, wypadku.

Gdy boju rozpaczy wieść krwawa uderza,
Wraz serce téj córki tułacza — żołnierza,

Co Boga i Polskę miłością uczciło
Jednaką — płomiennym zapałem zalśniło,
Tak czysto on w męzkiem uczuciu niepała...
Ta smętna gołąbka, niewinna, nieśmiała
Broń, sztandar do drobnéj schwyciłaby ręki,
By życie swe ponieść dła Polski ofiarą...
Schyl czoło przed świętym zapałem i wiarą!

Do kraju ją pognał prąd siły nieznany —
Gdzie tęsknią w Krakowie żałobne kurhany
Krakusa, Kościuszki i Wandy — gdzie stary
Nasz Wawel i Wisła rozlała pas szary.

Wtem nieszczęść straszydło się dziko rozśmiało
Parowy wóz w pędzie druzgoce jej ciało,
Nim jeszcze rodzinną ujrzała ziemicę...
Lecz do niéj zawieźli zmarłą męczennicę,
W Krakowie lud z płaczem położyl ją w grobie.

Dość wspomnień!—Za straszno w rodziny żałobie
Za wielka jéj krzywda, za świéża jej rana...

A ty, męczennico, pierzchnęłaś świetlana
Od świeżych łąk życia, od bagien topieli,
Zniknęłaś wraz z tymi, co z wiarą ginęli,

Że krwią swą wybawią niewolę ojczyzny...
Zniknęłaś, nieznając piekielnéj trucizny,
Co męczy nią kraj twój morderca zwycięzki...
Gdy obcy świat jawnie poziewa już z klęski...

Lecz ludy są młode i widzą w powodzi,
Że tkwi duch narodu, znicz płonie na łodzi,
Że bojaźń u katów chytrego oblicza,
Bo górą na fali ta łódź męczennicza (1).

(1) Utwor ten poświęcony wspomnieniu Wandy Sulerzyckiéj, zgasłej 1869 w szesnastym roku życia, córki najzacniéj zasłużonego w kraju obywatela Natalisa Sulerzyckiego, posła z Prus Zachodnich—i Marji Zienkowicz, która w 1863 r. ra kolei żelaznéj w Szlązku Austrjackim utraciła życie. Córka to znanego powszechnie w kraju i na wychodźtwie Leona Zienkowicza. — Cała prawie ludność Krakowa odprowadziła jéj zwłoki na cmętarz; całe wychodźtwa w Paryżu, okazało głębokie, braterskie współczucie dla żałoby ojca i rodziny.

KONIEC

Spis Utworów.

Stronnica.